Rok V. Myślenice, październik 1936. Nr. 2.

GŁOS MŁODYCH

ORGAN GMINY SZKOLNEJ PAŃSTW. GIMNAZJUM KOEDUKACYJNEGO
im. TADEUSZA KOŚCIUSZKI w MYŚLENICACH.

Jesień.

Pożółkłe Echo lata
pośród konarów błądzi,
wiatr nim raz wraz pomiata,
z groźbą surową sądzi.

A Echo płacze jękiem
i wicher jęk ten niesie...
Dziecko opowie z lękiem,
że jęczy coś po lesie.

Drzewa samotne stoją
i złotem liści płaczą.
Drzewa o wiośnie roją,
czy jeszcze ją zobaczą...

— — — — — — — —

Ściął chłop szumiące sosny
w jesienne odwieczerze.
Już nie zobaczą wiosny...
Szepcą drzewa pacierze...

— — — — — — — —

W maleńkiej chłopskiej chatce
przy ogniu siedzą dzieci.
Jedno coś prawi matce
o ogniu co się świeci.

A za oknami chaty
Echo swą żałość przędzie...
Tak bywało przed laty
i tak już zawsze będzie.

J. Burkatówna (VII.)

Wycieczka do klasztoru w Jazłowcu.

(wspomnienie z wakacyjnego kursu harcerskiego)

„Nie lej descu, nie lej!“ Tak śpiewałyśmy, idąc przez błotnisty las, który prowadził do celu naszej wycieczki tj. do Jazłowca. Niebo okryło się płaszczem chmur, rzucając na nas potoki deszczu i siekąc niemiłosiernie. Błyskawice oświetlały nam bagienną drogę, grzmoty przerażały swym hukiem.

W takich warunkach zeszłyśmy a raczej zjechałyśmy z mapą i kompasem w dolinę, w której leży miasto Jazłowiec. Miasto to ma wiele uroku i piękna, ale naszym celem były ruiny zamku i klasztor.

Zaczęłyśmy więc wspinać się na przeciwległe wyniosłe wzgórze, pokryte lasem. Burza szalała nad nami, gdy pukałyśmy po kilkunastu minutach do furty klasztornej.

Wskazano nam wejście. I oto znalazłyśmy się na dziedzińcu klasztornym, okolonym wieńcem drzew. Tu rozciągały się zabudowania. Sam klasztor znajdował się na szczycie wzgórza. Wspaniały to był widok. Naokoło las, a nie opodal rysujące się we mgle ruiny zamku. Przeszłyśmy przez furtkę na drugi dziedziniec klasztorny. Tutaj mieści się szkoła powszechna, prywatne mieszkania S. S. Niepokalanek oraz kaplica N. Poczęcia N. M. P., tworząc regularny prostokąt. Za pośrednictwem siostry furtianki stanęłyśmy przed przełożoną klasztoru, która przyjęła nas bardzo życzliwie. Wobec zbliżającego się szybko zmierzchu zaprowadzono nas do kaplicy, znajdującej się na piętrze, nad mieszkaniami zakonnic. Po białych schodach weszłyśmy do kaplicy, półmrok tutaj już panował, a ciemna noc wychylała się z kątów. Jednak śnieżysta białość u góry lśniła. Biały marmurowy ołtarz, cudnie przybrany białymi kwiatami, krył w sobie N. Sakrament, a wyżej stała duża figura N. M. Panny. Niepokalana, siejąca czystość wkoło Siebie, łaski zdroje, ukojenie duszom. Przed samym Tabernakulum w długim szeregu klęczą Siostry Niepokalanki. Twarze jakgdyby z marmuru, zatopione w modlitwie i rozmyślaniu. Cała kaplica jest przepełniona białymi habitami i kapturami. Panuje tutaj taka cisza grobowa, że słyszymy bicie serc własnych. Zatopiłyśmy się również w modlitwie.

A tylko czasem z oddali dochodził szum drzew, jęk wiatru i pluskanie deszczu.

Przywrócił nas dopiero do rzeczywistości głos zegara i głos obowiązku.

Żegnamy się i udajemy w drogę powrotną wśród deszczu i grzmotów. I chociaż upadałyśmy ze znużenia i nie miałyśmy już tego dnia ani posiłku ani snu, to jednak w sercach naszych panowała jakaś radosna błogość, wyniesiona z tej cichej, klasztornej kaplicy, spod stóp Niepokalanej.

S. S. (IV).

Wilno.

(z wycieczki wakacyjnej)

...Przeciągły gwizd — i pociąg stanął. Po nieprzespanej nocy zaczęłyśmy jak cienie wysypywać się na peron. Był wczesny ranek.

Stare kochane Wilno! Jak duch opiekuńczy unosi się nad pięknym miastem Matka Boska z Ostrej Bramy. Błogosławi lud, który przechodząc koło niej pada na kolana, aby złożyć hołd Jej Majestatowi.

I my pierwsze swe kroki zwracamy ku Ostrej Bramie i ugiąwszy tam kolana z pokorą, idziemy dalej.

W drodze do katedry wstępujemy do gmachu, w którym był więziony Adam Mickiewicz. Obecnie w jego celi jest coś w rodzaju muzeum. A więc klawikord, na którym grywała poecie Maryla i parę innych drobiazgów, między którymi jest i pluszowe krzesło. Naturalnie każda z nas musiała choć raz na nim usiąść, za co spotkała nas zasłużona bura, no ale mimo to byłyśmy szczęśliwe.

Idziemy dalej. Przed nami wznosi się wspaniała budowla z kolumnadą i czterema ewangelistami, których olbrzymie postacie odbijają się od nieba. Wchodzimy do środka. Owiewa nas chłód i półmrok. Podziwiamy piękne organy i olbrzymi ołtarz z czarnego marmuru. Wszystko wspaniałe i bogate. Wchodzimy do kaplicy Zygmunta Augusta, gdzie tymczasowo stoją trumny ze zwłokami Barbary Radziwiłłówny i Zygmunta. Złote monstrancje i kielichy, korony i pierścienie przesuwają się przed naszymi oczyma jak senne zjawisko. I oto zatrzymują się nasze oczy na starej, grubej księdze. To pamiątkowa księga, gdzie wśród sławnych i mniej sławnych nazwisk widnieje niepozornym pismem: Jan III. Sobieski i jego żona Marysieńka.

Zachwycone opuszczamy świątynię i udajemy się do jej podziemi, gdzie stajemy przed wzniesieniem, na którym dawniej płonął znicz litewski.

Następnie przez jasne, czyste lecz bardzo wąskie ulice zbliżamy się ku kościołowi dominikańskiemu. Tam obejrzawszy marmurowe wnętrze bardzo starego kościoła, korytarzami klasztornymi spuściłyśmy się do podziemi, pełnych trumien ze szkieletami pomordowanych przez Moskali spiskowców i powstańców.

Zmęczone, zgłodniałe skończyłyśmy na tym naszą przedpołudniową wędrówkę po Wilnie. Lecz po obiedzie i krótkim wypoczynku pognała nas znowu ochota, aby jak najwięcej widzieć, jak więcej poznać.

Wilno znane jest z tego, że posiada dużo kościołów, ale jednym z najpiękniejszych — to kościół św. Piotra i Pawła na Antokolu. Wszystkie ściany, ołtarze i sklepienia są pokryte płaskorzeźbami, wyrobionymi misternie i łączącymi się w bajeczną całość. Wszystko to jest dziełem rąk rzeźbiarzy włoskich. Z artystycznie malowanego stropu zwisa wspaniały żyrandol w kształcie łodzi Piotrowej.

Opuściwszy świątynię na Antokolu, pełną arcydzieł sztuki skierowałyśmy się na Rossę, by złożyć hołd sercu Wielkiego Marszałka.

Po drodze wstąpiłyśmy do uniwersytetu. Wzdłuż całego tego ogromnego budynku biegnie korytarz, coraz wyżej i wyżej. W to nam graj! Mimo zmęczenia urządziłyśmy sobie bieg maratoński. Kto prędzej, kto prędzej! Wpadłyśmy na balkon ogromnej sali. Na podwyższeniu stoi fotel, a przed nim stolik, na którym podpisano I-szy rozbiór Polski. Dalej szeregi krzeseł. To aula. Druga sala, mniej imponująca ale milsza, obita deskami — to sala wyborcza. Po oglądnięciu sal naukowych i zrobieniu pamiątkowej fotografii pośpieszyłyśmy na Rossę. Z ciekawością i najgłębszym wzruszeniem oglądałyśmy płytę z czarnego marmuru z napisem: „Matka i serce syna". U góry widnieje jeden z aforyzmów wypowiedzianych za życia przez Marszałka. Obok płyty straż honorowa.

Wreszcie zmęczone do upadłego wspięłyśmy się na wzgórze, na którym dumnie z wyciągniętymi ramionami lśnią w słońcu „Trzy Krzyże". A wokoło, u naszych stóp, przecięte błękitną wstęgą Wilii, z dumnie sterczącą górą zamkową — nasze stare, piękne miasto Wilno.

Zofia Udzielanka (VII.)

Wakacyjny obóz P. W. K.

Co roku odbywają się na terenie Polski lub za granicą, obozy dla członkiń Przysposobienia Wojskowego Kobiet dla obrony kraju. Jak pożyteczne i przyjemne są takie obozy wie najlepiej ta, która choć raz zakosztowała ich i doprawdy trudno opisać, jak miłe one po sobie pozostawiają wspomnienia. Która raz zasmakuje w życiu obozowym, ta napewno weźmie udział w drugim, trzecim, aż szczebel po szczeblu, osiągnie to, do czego każda z nas pewiaczek dążyć powinna, aby po kilku latach pojechać na obóz już nie jako słuchaczka, ale instruktorka. Zeszłego roku kilka pewiaczek z naszego gimnazjum brało udział w obozie w Orłowie nad morzem. W tym roku byłyśmy w Garczynie koło Kościerzyny na Pomorzu.

Na ogromnej polanie, wokoło której szumiały sosny uradowane, że znowu polana rozbrzmiewa wesołymi głosami i napełnia się pełnymi zapału do pracy pewiaczkami — zawrzała gorączkowa praca i wnet polana pokryła się mnóstwem małych płóciennych domków, bo do Garczyna przybyło w tym roku około 500 pewiaczek.

Gdy urządziłyśmy już swe „mieszkania" pięknie i z komfortem, zaczęły się dnie niekiedy smutne i szare, przeważnie jednak szczęśliwe i miłe, bo smutek długo trwać nie może i tęsknoty za domem nie odczuwa się tak mocno wśród tak ogromnej rodziny pewiackiej.

Wieczorem, gdy na niebie błyszczą gwiazdy i jaśnieje księżyc, wokół ognisk kompanijnych czy plutonowych, skupione w szarych mundurach pewiaczki słuchają opowiadania komendantki, dumają nad losem swoich poprzedniczek i obierają sobie za wzór jedną z tych bohaterek, które walczyły o niepodległość, postanawiają pracować solidnie nad sobą, po prostu odradzają się, a myśli płoną zapałem, lecą wraz z iskrami w górę, by jednak nie zgasnąć jak iskra.

Odzywa się piosenka. Pewiaczki z całej Polski jednoczą się w tonach pieśni, która leci hen w bór, aż nad ogromne jezioro garczyńskie i ginie w jego falach. To piękne jezioro niedaleko polany od dawna słucha naszych pieśni i wchłania w siebie ich dźwięki, a gdy ich zabraknie — samo powtarza wyuczone melodie. Od dawna już zjeżdżają się do Garczyna pewiaczki, a z obozów i kursów, które co rok tam się odbywają, wychodzą dzielne jednostki przygotowane do życia społecznego, zdrowe i odważne, wesołe i rwące się do pracy — pewiaczki z całej Polski, zjednoczone ideą.

Szybko przeminęły nam dnie na tegorocznym obozie. Zdałyśmy egzamin z tego, czego nauczyłyśmy się w czasie obozu, otrzymałyśmy świadectwa.

Lecz przyszedł dzień rozstania z koleżankami, lasem, jeziorem, i polaną.

Tym razem żałośnie zaszumiały sosny, załkało jezioro — a nam odejść było trudno. Odeszłyśmy smutne, lecz z tą nadzieją, że wrócimy i to niedługo.

Tu w szkole nie mamy ciężkiej pracy, lecz mamy teren, na którym możemy pracować nad wpojeniem naszej idei w młodsze koleżanki, by stały się karnymi i dzielnymi obywatelkami.

Zachęcam więc wszystkie koleżanki, by dla uzupełnienia swych wiadomości i zahartowania charakterów jak najchętniej brały udział w obozach, które naprawdę dużo nam dają korzyści.

E. C. (VIII.)

Uczę się...

Za oknami deszcz monotonnie pluszcze... Siedzę sama pochylona nad książką. Uczę się. No, tak to przynajmniej wygląda. Trzymam książkę, wpatruję się w litery -- i koniec. Bo myśli moich roztrzepotana, rozswawolona gromada coraz to nad innymi obrazkami przystaje — i śmiejąc się beztrosko, przypomina minione wakacje—przygód tysiące—wesołych zdarzeń rój. To znów zestraszona drży przed srogą, o jakże poważnie patrzącą matroną, zwaną maturą. Lecz zaraz dalej śpieszy gromada — olśniewa pomysłami — rozwija barwne, tęczowe obrazy bohaterskich przygód i kusi, kusi bez końca...

Oto szkoła lotnicza a ja, najzdolniejsza jej uczenica odbywam dzisiaj swój pierwszy próbny lot. Lotnisko—nieprzeliczona rzesza tłumu — tysiące, rozentuzjazmowane tysiące — wzruszona grupka najbliższych — kwiaty. Żegnajcie!... Szybuję w górę. A wszystko maleje, niknie—ot takie kruszynki. Tylko jestem ja—sama—zwyciężam przestrzeń i lecę, lecę bez końca. Słyszę najmilszą muzykę: okrzyki tłumów wiwatujących. Widzę oczyma duszy płomienne tytuły pochwalnych mów, rozwarte podziwem i zazdrością oczy tłumu—„Zwyciężczyni!" „Bohaterka!"—Na twarz występują rumieńce, pierś podnosi szybki

oddech. Wspaniała maszyna w zwycięskim rytmie pruje powietrze. Jednostajny warkot motoru zgłusza radosne uderzenie serca. Jak dobrze lecisz mój ptaku!...

Wtem wprawne ucho podchwytuje złowrogi zgrzyt — ściska się serce strachem. Ptaku, zawiedziesz?? Rozpaczliwe zmagania—sekundy mijają—nie ma ratunku—zielona tafla wody coraz bliżej... Trrach!!

...Książka leży na podłodze. — Oddycham pełną piersią.

I pogroziwszy palcem gromadzie rozswawolonych myśli-marzeń — zabieram się do pracy.

I znów szemrze deszcz,
o szyby z pluskiem bije...

Erha (VII.)

Plagiat.

Janusz mieszkał w niewielkim powiatowym miasteczku. I nigdy nie przyszło mu nawet na myśl, że mogłoby być inaczej. Od dzieciństwa uganiał tymi samymi krzywymi błotnistymi uliczkami. Z gromadą podobnych sobie urwiszów zdobywał płoty — fortece, czarne od starości, chwytał koty bezpańskie. A potem przybrany w błyszczący od nowości granatowy mundur szedł pierwszy raz do gimnazjum, nadęty jak paw, pełen niepowszedniej godności.

I odtąd codziennie od sześciu lat przemierza tę samą drogę, bezmyślnie stukając obcasami o wyszczerbiony bruk chodnika. W klasie otaczają go twarze, codziennie tesame, nudne w swej jednostajności.

Wszystko jest przeogromnie codzienne i zwykłe. Popołudnie. Pokój ma zatarty bladożółty deseń i na podłodze leżą wypłowiałe prostokąty słońca. Janusz uczy się ze zniszczonych kartek podręczników szybko i byle jak. Koło głowy brzęczy mu rój dat, nazwisk i faktów, wyciągniętych z przeszłości, jak się czasem ze starej skrzyni stojącej na strychu wyciąga niepotrzebnie stare rupiecie, pachnące stęchlizną.

Tak było przez długich sześć lat. Było — mówię — bo od kilku dni w życiu Janusza zmieniło się wiele. Napozór nikt by tego nie spostrzegł. Otóż to właśnie! Pozory — pozory! Nikomu nie chce się zajrzeć głębiej w serca bliźnich. Wystarcza do osądu zewnętrzna forma, banał, zdawkowa moneta!..

Gdyby ktoś dzisiaj zajrzał w głąb serca Janusza, cofnąłby się, zasłaniając rękoma oślepione oczy. Temperatura powyżej wrzenia. Ciśnienie 1000 atmosfer na cm^2.

Krótko a węzłowato — Janusz zakochał się. Lecz w kim? Kto ona? Anioł! Helleńskie bóstwo i uczennica 5-tej klasy gimnazjalnej w jednej osobie. Niezrównana! Przepiękna! Któż wypowie wszystkie zalety, jakie stroją wybraną w oczach siedemnastoletniego marzyciela, nota bene — widzianą raz i to przez jakieś pięć minut.

Przedziwny splot wydarzeń zbliżył ich ku sobie. Własnoręczna interwencja przeznaczenia, z góry ukartowany przez los cud.

Otóż Janusz ma kolegę, poczciwego chłopca, a tenże znów ma siostrę, nie! piszmy po kolei — ten ma przede wszystkim wielki słownik łaciński. To było najważniejsze. Czasem los używa do spełnienia przeznaczeń rzeczy tak marnej jak słownik. Taka już jego krotochwilność i kto mu co zrobi? A Janusz nie miał słownika. Pisząc jakieś wypracowanie nagle utknął — i ani w prawo ani w lewo. Męczył się biedak pół godziny, wreszcie zaklął po studencku i nie oglądając się nawet za czapką, wybiegł do Edka, by pożyczyć słownik. Edek, jako się rzekło, miał siostrę. A ta siostra miała koleżankę, właśnie owego anioła jasnowłosego. I oto w małym pokoju spotkała się cała czwórka. Janusz szurgnął nogami, aż na malowanej podłodze została biała rysa, zaczerwienił się po nasadę kręconej czupryny i zaczął coś bąkać o celu wizyty. Panienki usunęły się pod okno z szeptami i chichotem. Edward usadził kolegę na krześle i wyszedł na poszukiwanie żądanej książki.

Janusz zmieszany do ostatnich granic obserwował spod oka „damy". One niby nie patrzyły w jego stronę, zatopione w cichej rozmowie, widocznie bardzo zabawnej, bo co chwila wybuchały przytłumionym śmiechem, ale spod rzęs rzucały na chłopca figlarne spojrzenia. Wreszcie wszedł Edek z grubym foliałem i wybawił Janusza z głupiej sytuacji, ten czuł się bowiem jak na „cenzurowanym". Zerwał się z miejsca, skwapliwie pożegnał uściskiem dłoni kolegę i te dwie roześmiane pliszki.

Znalazłszy się na ulicy odetchnął. Ale zamiast o niedokończonym zadaniu zaczął rozmyślać o tym, jakie to śliczne niebieskie oczy ma ta koleżanka Zosi. I jakie warkocze złote. I jak się śmieje rozkosznie... Koniec końcem machnął ręką na zeszyt i zadanie.

„Pójdę wcześniej do budy, to odwalę od kogo"... Uspokoił budzące się wyrzuty sumienia. Sam zaś ponownie oddał się rozpamiętywaniu uroków poznanej panienki. „Chyba się w niej zakochałem" — sformułował konkluzję i raptem ucieszył się z tego. Ot — czego mu brakowało. W każdej powieści — każdy szanujący się bohater kochał się w kimś. Miał jakiś ideał, o którym marzył. Nawet stary śmieszny Don Kichot uwielbiał Dulcineę! Teraz i on będzie miał swoją wybraną. Poczuł się nagle bardzo ważnym i niezmiernie romantycznym. Przejrzał się nawet w lusterku, czy nie znać na jego twarzy tego wielkiego wydarzenia. Na wielkie jednak utrapienie młodego Don Juana nic nie wskazywało na ową śmiertelną miłość. Nie dojrzał na swej twarzy ani cienia romantycznej bladości ani iskry ponurego ognia cierpienia w źrenicach. Z tafli zwierciadła jak na urągowisko — patrzyły z różowej chłopięcej twarzy oczy żywe, wesołe o niebardzo mądrym w tej chwili wyrazie.

Janusz westchnął smętnie i z nielogiczną złością schował lusterko do kieszeni wytartego mundurka. Potem usiadł i zabrał się do uwiecznienia tępym scyzorykiem na poplamionym atramentem stole inicjałów swojej bogdanki. Niestety znał tylko imię. Słyszał, jak Zosia mówiła do niej „Ewuś". Ewa — Ewunia — rozkoszował się w myśli ślicznym dźwiękiem i z utrudzeniem godnym lepszej sprawy kaleczył zasłużony stół. Wreszcie skończył i spojrzał z dumą. Na ciemnej politurze bieliło się ozdobne „E". Na dobrą sprawę można było to arcydzieło czytać jako C, G, a nawet jako O, ale nie krytykujmy, tym bardziej, że sam wykonawca był całkowicie zadowolony ze swego dzieła.

Tak się rozpoczęła miłość Janusza do złotowłosej panny Ewy, uczenicy 5-tej klasy gimnazjum żeńskiego. W dalszym ciągu rozwijała się prawidłowo. Codziennie Janusz nadkładał szmat drogi, by idąc do szkoły przejść koło żeńskiego zakładu. Czasem spotykał na drodze swą uwielbianą. Zdzierał czapkę z głowy w niziutkim ukłonie i rumienił się ze szczęścia. Taki dzień notował w swym kalendarzu jako wyjątkowo pomyślny. Dla Edka był grzeczny i usłużny, prawie zabiegał o jego przyjaźń w sprytnym wyrachowaniu. Edek był dobrym chłopcem i z zapałem zbierał marki. Więc też nietrudno było Januszowi wkupić się w jego sympatię. Jedna i druga Gwadelupa, kolorowe Kongo czy Afganistan, ofiarowany w koleżeńskim porywie hojności — i już serce zbieracza na oścież otwarte.

Zaprzyjaźnili się przeto dwaj chłopcy i dużo czasu spędzali ze sobą. Janusz dowiedział się już nazwiska Ewy i — ale pod największym sekretem — podobno Ewa powiedziała Zosi, że się jej Janusz podoba. Zosia powtórzyła to oczywiście bratu w tajemnicy — a Edek Januszowi. „Tylko rozumiesz Jasiek, sekret. Jakby się Zosia dowiedziała, że ja ich tajemnice zdradzam przed tobą...“ zastrzegł się przezornie. Janusza jakby kto na sto koni wsadził. Uradowany powziął heroiczną decyzję. Napisze do Ewy. Ale jak? Po długim i ciężkim namyśle postanowił ułożyć wiersz. Zawsze to bardziej wzruszy niż zwyczajny list. Niech wie, że to nie byle kto! Że jest kochana przez geniusza w zarodku, któremu może kiedyś... Przypomniała mu się nota z polskiego: marne dostatecznie, fakt w żadnej mierze nie wróżący pomnika i nieśmiertelnej sławy. Ze zwykłą jednak sprawiedliwością złożył to niepocieszające „dostatecznie“ na karb uprzedzenia profesora. Natomiast przypomniało mu się, jak to kolegom podobał się wiersz ułożony po meczu piłki nożnej, kiedy ich klasa pobiła z wynikiem 4:1 siódmaków, a potem wierszowana satyra na nielubianego ogólnie profesora.

Tymi wspomnieniami pokrzepiony usiadł nad czystym brulionem i natchnionym gestem wsunął obsadkę pióra między zęby.

Mijały minuty namysłu. Wreszcie zaczernił się równiutkim rzędem pierwszy wiersz:

„Ukochana! Twych oczu wzrok rozsłoneczniony
Pozbawił mię spokoju i zasiał niepokój...

...Tu dopiero zaczęła się tragedia. Ani rusz nie mógł znaleźć rymu do „rozsłoneczniony“. Przyszły mu wprawdzie na myśl „wrony“, ale jakże tu takie ordynarne ptaszysko wsadzić do miłosnego poematu? A słowo: „żony“? No — nie mógł się przecież w pierwszym liście oświadczać. W każdej powieści odbywało się to dopiero w ostatnich rozdziałach. Zresztą w tym przypadku gramatycznym jest to słowo do niczego! Psiakrew! Ze złością gryzł Janusz rączkę do pisania, aż czerwona politura popękała i ukazała drzewo.

Utknął — ani rusz! A zmieniać szkoda. Takie poetyczne jest to określenie: wzrok rozsłoneczniony.

Nagle do drzwi zapukano. Wpadł Edek. Czerwony od szybkiego chodu, roześmiany.

„Serwus, Jasiek!" — „Zaraz, zaraz" — odburknął Janusz pochylony nad zeszytem i gestem nakazał gościowi spokój — „rozsłoneczniony... rozsłoneczniony..." Ani rusz! Wreszcie zniecierpliwiony rzucił pióro.

„Cóż ty piszesz?" zainteresował się Edek. „E, widzisz — jąkał się Janusz — chciałem tej Ewie jakiś wiersz napisać — ale ciężko idzie. Nie mogę rymów doszukać".

„Co byś się tam martwił — machnął lekceważąco ręką kolega. Odpisz skąd i poszlij. I tak się nie pozna".

Rada przyjaciela wydała się Januszowi cudownie prostą. „No dobrze", zgodził się ochotnie — „ale skąd odpisać?" Zafrasował się i Edek. „Nie macie to w domu żadnych poezji? Jakiego Asnyka, Słowackiego, czyjekolwiek zresztą"? — „Poszukam" — zadecydował Janusz znikając w przyległym pokoju.

Za chwilę wrócił z pięknie oprawną książką w ręku. „Słowacki!" oznajmił z tryumfem. Zaczęli obaj pilnie wertować kartki. Aż wreszcie znaleźli coś odpowiedniego. Wyjątek z poematu „W Szwajcarii" Janusz miał jeszcze pewne zastrzeżenia, bo jeśli ona to już czytała, on — Jasiek — zbłaźni się w jej oczach. Ale Edek rozprószył skrupuły kolegi solennym zapewnieniem, że przecież Słowackiego bierze się dopiero w klasie siódmej, więc w żaden sposób nie zachodzi obawa wsypania się, przynajmniej w terminie najbliższych dwu lat.

Janusz odetchnął z ulgą. Z zeszytu wyrwał dwie środkowe kartki i starannie przepisał następujący urywek, dla aktualności zmieniając słowo „Jungfrau" na nazwę okolicznej góry:

> Pójdziemy razem na śniegu korony,
> Pójdziemy razem na sosnowe bory,
> Pójdziemy razem, gdzie trzód jęczą dzwony,
> Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
> Prehyba — i słońce złote ma pod sobą.
> Gdzie we mgle jeleń przelatuje skory,
> Gdzie orły skrzydeł rozwianych żałobą
> Rzucają cienie na lecące chmury,
> O luba moja! Tam pójdziemy z Tobą!
> A jeśli z takiej nie wrócimy góry,
> Ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy
> I gdzieś w niebieskie uniosły lazury.

Zaopatrzywszy owo cenne pismo w zamaszysty podpis: Janusz Zapora, opakował je starannie i dał Edkowi, by za pośrednictwem siostry doręczył list Ewie.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Nazajutrz tą samą drogą przyszła odpowiedź:

Szanowny Panie! Nigdy nie myślałam, że Pan może podobne idiotyzmy wypisywać i mnie posyłać. Swoje kulawe wiersze niech Pan schowa dla kogo innego — i wogule (jak Boga kocham: u otwarte!) jestem obrażona. To wszystko nie ma sensu i z Panem na Prehybę nie pujdę, (stanowczo panna Ewa nie uznaje ó pochylonego) ani mi się śni! A jak Pan będzie jeszcze takie bzdustwa pisał, to się nie odkłonię i zerwę z Panem znajomość. I jeszcze radzę, jak kto nie umie wierszy pisać, niech się na to nie porywa. Bo wychodzą takie marności jak to, co Pan napisał. Z poważaniem — Ewa K.

— Janusz zgłupiał. Przez chwilę stał i patrzył na papier jakby nieprzytomny. Potem rozśmiał się szatańsko: Ha! Niewdzięcznico! — i w jednej chwili zrezygnował z dalszego kochania się w Ewie. Zapomnę! postanowił. I nawet nie wydawało mu się to zbyt trudnym. Przedtem jednakże postanowił się zemścić za tak bezwzględne zlekceważenie jego osoby i hołdu.

„Zemsta jest rozkoszą bogów" przypomniał sobie okolicznościowo.

Do rąk panny Ewy powędrowała jedna jeszcze kartka takiej oto treści:

Szanowna Pani! Nastąpiła pomyłka w adresie. Cenne uwagi dotyczące wiersza proszę przesłać Juljuszowi Słowackiemu.

Z poważaniem — Janusz Zapora.

— — — Finisz. Kropka. Skończona nowelka. Jeszcze tylko chciałbym szanownym czytelnikom wyjaśnić genezę tytułu. Niby treść opowiadania mówi sama za siebie. Janusz splagiował wiersz Słowackiego. Tak — to primo. Ale jest jeszcze jeden powód, że tak a nie inaczej zatytułowałem humoreskę. Otóż lojalnie przyznaję się, że jej treść — to nie mój pomysł. Plagiat. No — nie tak znów dosłownie odwalony, ale w każdym razie słyszałem gdzieś podobną anegdotę. Zatem krytykę proszę kierować pod innym adresem. W spółce mojej z właściwym autorem dla niego przeznaczam — krytykę, dla siebie rezerwuję — uznanie i pochwałę.

Halny (VIII.)

Panna Namysłowska.

Na liczne apele i prośby, by zapełniać karteczki „Głosu Młodych“, panna Namysłowska postanowiła być filarem tej gazetki. Lecz skąd zaczerpnąć tematu?

Po godzinie namysłu „Ameryka została odkryta“. Panna Namysłowska podążyła do parku na przechadzkę. No i nieszczęście chciało, że właśnie spadł na nią listek z drzewa. A więc do głowy przyszła złota myśl. Trzeba napisać artykuł do „Głosu Młodych“ pt. „Lecą liście z drzewa“.

Uznając zasadę: „Co masz czynić, czyń zaraz!“ zaczęła opracowywać swoje „nieśmiertelne“ dzieło. Pisała jeden tydzień, pisała drugi. Dość na tym, że zanim skończyła ten artykuł, już gruby płaszcz śniegu okrywał ziemię, a wszyscy myśleli o wycieczkach narciarskich i ślizgawce. A więc na „liście“ absolutnie już zapóźno. Rozczarowanie... Lecz nie trzeba upadać. Trzeba dalej pracować. Lecz znowu brakło tematu. Więc męczyła swoją głowę nad tym ważnym zagadnieniem caluśką zimę. Trudno. Nic do głowy nie przyszło.

Przyszło lato, wakacje. Wszystko było miłe i szybko minęło. Znowu zaczęły spadać liście z drzew. Panna Namysłowska przypomniała sobie swoje zeszłoroczne spóźnione dzieło. Postanowiła je w najkrótszym czasie wręczyć redakcji. Lecz trzeba je było jeszcze poprawić. Poprawa trwała kilka dni. I o zgrozo! Czy uwierzycie mili Czytelnicy? Znowu spadł obfity śnieg. Naturalnie na liście znowu było za późno. Zawsze za późno i za późno. Jak tu nadążyć we wszystkim? Jak być punktualną? Zielona rozpacz ogarnęła pannę Namysłowską — i ręce jej opadły... Spytacie, dlaczego opadły? Naturalnie, że z nadludzkiego natężenia.

A teraz płaczcie i smućcie się, że nie będziecie w „Głosie Młodych“ czytali czarującego utworu panny Namysłowskiej.

St. Szydłakówna (IV.)

Gazetka „Głos Młodych“ żali się.

Wszak wszyscy mnie znacie,
bo wiele gadacie,
że jestem za mała,
anemiczna cała,
bez życia, humoru,
że mi brak koloru,
oraz myśli głębszych
i uczuć wznioślejszych...
Tak! Zgadzam się z wami,
z tymi poglądami.
Też tego nie znoszę,
lecz skarżyć się muszę,
że to wasza wina,
w was złego przyczyna!
Bo dlaczegoż wszyscy,
poeci i prozaicy,
nie dadzą mi życia,
serc – myśli odbicia,
tych wspomnień z lat szkolnych,
pogodnych, swawolnych,
zapachu łąk, lasów,
lub przeżyć z tych czasów,
gdy smutek, tęsknota
serce wam omota?...
Czemuż nie powiecie
jak tam w waszym świecie?
Ja chcę wszystko wiedzieć,
w duszach waszych siedzieć,
czuć, co wy czujecie.
Bo to wszystko przecie
da to, czego chcecie:
Będę piękna, wabiąca
i interesująca,
ożywcze wniosę tchnienie
i wszechzadowolenie.
Inne gazetki pobiję
i sławą się okryję!

Osa (VIII).

Z życia naszych organizacji.

Otwarcie świetlicy. W dniu 17-go października b. r. odbyło się otwarcie świetlicy oraz czytelni świetlicowej. Uroczystość ta zgromadziła wszystkich zwolenników życia świetlicowego, którzy pragną czas wolny od nauki spędzić przyjemnie i pożytecznie na grach i czytaniu. Głównym punktem programu otwarcia świetlicy był koncert muzyczny kol. Łopatyńskiej (fortepian) i kol. J. Koniecznego (skrzypce).

Ogólne zebranie Koła L. O. P. P. Dnia 22-go października br. urządzono ogólne zebranie naszego Koła szkolnego L. O. P. P., na którym wygłoszony został referat p. t. „Historyczny rozwój walki gazowej“. Następnie omawiano sprawę urządzenia kursu dla zaznajomienia Członków z obroną przeciwgazową.

Wesoły kącik.

Przygoda Helusi
czyli w jaki sposób zdechły kot zamienił się w wędzoną szynkę

(historia prawdziwa).

Luta jest dziś nie w humorze, zauważyła to natychmiast Helusia, wszedłszy do przedpokoju. Jej smutna mina mówiła o jakimś zmartwieniu.

Helusia spojrzała z niepokojem.

Co się stało?

Luta bez słowa wskazała zdechłego Maćka, nad którym pochylały się zapłakane twarzyczki młodszego rodzeństwa. Helusia przerażona spojrzała na martwą postać rudego kota, ulubieńca rodziny.

Więc zdechł! I wszyscy pogrążyli się w smutnym rozważaniu. Lecz mama nie długo na to pozwoliła. Zawinęła kota w papier, owinęła sznurkiem i wyprawiła obie dziewczynki, by go zakopały. Zrezygnowane wyszły i po chwili wmieszały się w tłum uliczny. Pojechały tramwajem. Wysiadłszy przy ogródkach działkowych, zaczęły szukać dogodnego miejsca. Lecz jakże tu zabrać się do kopania, kiedy tylu ludzi wokoło.

Biedne dziewczynki pochodziły tu i tam i wróciły znów do tramwaju. Usiadły na ławce i położywszy pakunek obok siebie, pogrążyły się w myślach. Co zrobić, żeby pozbyć się tego kota?

Wpadły na świetną myśl. Oto — wysiadając zostawią go na ławce, udając, że zapomniały. I zadowolone przebyły dalszą podróż w dobrych humorach, przyglądając się stale zmieniającym się ludziom. Tu jakaś gruba jejmość usiadłszy przy nich, obłożyła się pakunkami i pakuneczkami. Tu jakaś strasznie wymalowana dama, to znów jakiś ulicznik — gazeciarz.

I znowu ludzie się zmieniają i znowu inni. Jedni wsiadają, drudzy wysiadają.

Wysiadła również i gruba jejmość. Ledwie się pozbierała.

Nadszedł kres jazdy. Luta i Hela z poważnymi minami wyskoczyły z tramwaju, ale ledwie znalazły się na ulicy, usłyszały głos

konduktora: „Panienki, panienki, pakunek został!“ Czy nie pech? Chcąc nie chcąc musiały go wziąć.

Co powie mamusia?

Po chwili uradowane rodzeństwo z powrotu kota rozpakowało paczkę. Jakież było zdziwienie wszystkich, gdy w papierze zamiast kota zobaczono wędzoną, świeżą szynkę. Posypały się pytania, lecz obie dziewczynki doprawdy nie wiedziały, co się stało. I nagle na pamięć przyszła im gruba jejmość z ogromną ilością pakunków — i zrozumiały.

Wybuchł huraganowy śmiech. No, ale w każdym razie zdechłego kota się pozbyły.

(Zu.)

Od redakcji.

Prosimy wszystkie nasze organizacje szkolne o komunikaty sprawozdawcze do numeru listopadowego. —

Kol. K. K.: Otrzymaliśmy od kolegi obszerny poemat humorystyczny i długie opowiadanie z rowerowej wycieczki wakacyjnej. Zadał sobie kolega wiele trudu, lecz prosimy o utwory krótsze a lepsze.

Kol. Wit: Dziękujemy, skorzystamy.

Kol. J. K.: Wiersz pt. „W jesienne dni“ i artykuł „Dlaczego mamy czytać“ jeszcze słabe. Prosimy o inne lepsze.

Kol. „Biały Indianin“: Artykuł „Czuwaj“ nie może, niestety, być drukowany ze względu na częstsze powtarzanie się tego tematu. Cechuje go jednak pewne zacięcie literackie. Prosimy o dalszą współpracę.

Komisja redakcyjna: *Mieczysława Nagawiecka, Zofja Polończykówna, Jan Konieczny, Renata Hirkawska, St. Kiczmal.*
Opiekun: *prof. Ludwik Werschler.*

Drukarnia Fadena w Myślenicach. — Telefon Nr. 20.